



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM IV



PIEŚŃ
MIECZA



B E R N A R D
Cornwell

PIEŚŃ
MIECZA

TEUMACZENIE
MATEUSZ PYZIAK



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *Sword Song*

Copyright © Bernard Cornwell 2007

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Mateusz Pyziak

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-530-3



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

PROLOG

Zimowe ciemności. Przejmujący chłód i bezksiężycowe niebo.

Ponad krawędzią burty widać było, odbite od lekko falującego zwierciadła rzeki, migotanie gwiazd. Tamiza przybierała. Wartkie strumienie – niosące wody z topniejących na kredowych wzgórzach Wessexu śniegów – mieszały się w jej nurcie, by dalej wspólnie wędrować ku morzu.

Nasz statek bez nazwy dotykał burtą południowego – należącego do Wessexu – brzegu. Z drugiej strony, za wodą, rozciągała się Mercja. Staliśmy dziobem pod prąd, utrzymywani w miejscu przez rzemień przymocowany do grubego konaru jednej z trzech zwieszających się nad nami siostrzanych wierzb.

Na kupieckim statku – krążącym zazwyczaj z towarami od portu do portu w górnym biegu Tamizy – znajdowało się trzydziestu ośmiu mężczyzn. Obok mnie stał, wsparty na wiosle sterowym, szyper imieniem Ralla. Chociaż był ledwie widoczny w gęstej pomroce, dostrzegąłem zarys jego okrytej skórzanym bezrękawnikiem sylwetki. Do boku miał przypasany miecz. Pozostałych wojowników, uzbrojonych w tarcze, topory wojenne, miecze i włócznie, okrywały pełne skórzane zbroje, długie kolczugi i hełmy. Owej nocy mieliśmy unurzać się we krwi naszych wrogów.

Sihtric, mój sługa, przycupnąwszy na ławce wioślarskiej, miarowo pociągał oselką po klindze krótkiego saksa.

- Wyznała mi, że szczerze mnie miłuje – podjął wcześniej rozpoczętą rozmowę.

- I nic dziwnego – odrzekłem oględnie.

Chłopak się zamyślił, a kiedy znów się odezwał, wydał mi się bardziej wesół, jak gdyby moje słowa dodały mu otuchy.

- Ani chybi mam już dziewiętnaście lat, panie, jeśli nie dwadzieścia.

- Prędzej osiemnaście – odparłem.

- Panie, już od dobrych paru wiosen ciągnie mnie do żeniaczki!

Gawędziliśmy półgłosem, chociaż noc pełna była dobiegających z ciemności dźwięków – jednostajnego szmeru wody i kołatania nagich, poruszanych wiatrem gałęzi. Jakieś buszujące po nocy stworzenie z pluskiem wskoczyło do rzeki. W oddali zahuczała sowa. Potem lisica zaskowytała niczym żegnająca się ze światem dusza. Od czasu do czasu nasza łódź poskrzypywała z cicha. Oselka Sihtrica wciąż rytmicznie pobrzękiwała o metal. Czyjaś tarcza głucho uderzyła o wioślarską ławkę. Pomimo wszystkich tych nocnych dźwięków nie ośmieliłem się rozprawić na cały głos, gdyż nieopodal, w górze rzeki, stał przycumowany nieprzyjacielski okręt, a morscy łupieżcy musieli przecież pozostawić strażę. Wprawdzie wojownicy z wrogiego okrętu mogli nas wcześniej zobaczyć – gdy sunęliśmy z prądem wzdłuż mercyjskiego brzegu – lecz nie mieli powodów, by podejrzewać, że zaczaiamy się na nich za kolejnym zakolem rzeki.

- Po cóż brać za żonę ladacnicę? – nagabnąłem Sihtrica.

- Ona jest... – zaczął, szukając odpowiednich słów.

– Przejrzała i zepsuta – podsunąłem. – Ealhswith ma chyba ze trzydzieści lat i rozwiera uda na widok każdego mężczyzny! Gdybyś ustawił jeden obok drugiego wszystkich, którzy ją grzmocili, powstałaby armia zdolna podbić całą Brytanię. – Szyper, słysząc moje przymówki, parsknął zduszonym śmiechem. – Czy i ty znalazłbyś się w tym szeregu, Ralla? – rzuciłem.

– Musiałbym chyba stawać za dwudziestu – odparł ubawiony.

– Cóż z tego, skoro to mnie pokochała? – stwierdził niezrażony Sihtric.

– Pokochała twoją szczodroblivość – kontynuowałem nieustępliwie. – Zresztą skoro obstajesz przy tym, by wtykać nowusieńki miecz do wysłużonej pochewki...

Osobliwe są rozmowy czekających bitwy wojowników. Rozprawiają o wszystkim, tylko nie o tym, co ich może spotkać. Swego czasu stałem w murze tarcz i wpatrywałem się w groźne oblicza przeciwników, licząc włócznie lśniące nad ich głowami, podczas gdy moi towarzysze spierali się zawzięcie o to, w której karczmie warzy się najwyborniejsze piwo. Kiedy trwoga ogarnia nas niczym podnosząca się mgła, mówimy o czymkolwiek, byle rozprędzić zbierające się w głowie chmurne myśli.

– Czemu nie znajdziesz sobie jakiegoś młodego, urodzonego dziewczęcia? – podpowiedziałem młodzikowi. – Córka garncarza jest w wieku stosownym do ożenku. Ślicznotka ma już ze trzysta wiosen.

– Jest tępa jak obuch topora – zaprotestował Sihtric.

– Nie ustępujesz jej w tej mierze – zauważyłem z przyganą. – Nagrodziłem twe zasługi srebrem. A ty co? Oddajesz je pierwszej napotkanej dziewczce. Na własne oczy widziałem

bransoletę, tę samą, którą niedawno ci darowałem, zdobiącą jej ramię!

Sihtric pociągnął nosem, nie znajdując odpowiedzi. Był synem Kjartana Okrutnego, Duńczyka, który przyprawił brzuch jednej ze swych saskich niewolnic. Chłopak miał zadatki na godnego wojownika – mimo dość młodego wieku stawał już w murze tarcz. Wiedział, jak zadawać śmierć, i jeszcze tej samej nocy miał uczynić użytek z tej umiejętności.

– Znajdę ci żonę jak się patrzy – obiecałem.

Wówczas przez otulający świat mrok przebił się wrzask. Wprawdzie był ledwie słyszalny, ale nie mieliśmy wątpliwości, że gdzieś na południe od nas ma miejsce krwawa jatka. Z oddali dobiegały kobiece zawodzenia i krzyki konających.

– Oby ich Bóg pokarał – burknął z goryczą Ralla.

– Sami się tym zajmijmy – rzuciłem zwięźle.

– Trzeba nam było... – zaczął szyper, ale ugryźł się w język. Wiedziałem, co cisnęło mu się na usta. Chciał powiedzieć, że powinniśmy byli zawczasu udać się do wsi i obronić jej mieszkańców, lecz z góry znał moją odpowiedź.

Gdyby wyraził takowe zdanie, musiałbym mu odrzec, że nie sposób było przewidzieć, na którą osadę uderzą Duńczycy. Zresztą nawet gdybym wiedział, nie byłbym skłonny jej bronić. Z przyczyn nader oczywistych. Mógłbym co prawda umieścić swoją drużynę przyboczną pod chłopskimi strzechami i kazać jej wypaść z chałup, kiedy pojawią się najeźdźcy. Ani chybi moi ludzie na ostrzach mieczy, toporów i włóczni roznieśliby wielu wrogów, ale pozostali napastnicy – korzystając z osłony nocy – umknęliby. A do tego nie chciałem dopuścić. Pragnąłem, by każdego Duńczyka, każdego Norwega, każdego wikinga bez wyjątku spotkała śmierć. Zamierzałem oszczędzić jednego jedyne go człowieka, którego zamyślałem

posłać na wschód, by zaniósł obozującym w dolnym biegu Tamizy pobratymcom wieść, że jeśli poważą się na wypad do Wessexu, Uhtred z Bebbanburga zgotuje im gorące powitanie.

– Nieszczęsne dusze – biadolili Ralla.

Południowy horyzont rozświetliła, majacząca w gąszczu czarnych gałęzi szkarłatna poświata, widomy znak, że najeźdźcy podłożyli ogień pod strzechy. Luna rozprzestrzeniającej się pożogi opromieniła zimowe niebo, od którego wyraźnie odcinała się linia nagich drzew, rzucając ponure miedzianoczerwone błyski na helmy moich ludzi. Wtedy nakazałem im zdjąć nakrycia głowy, by wartownicy nie dojrzeliby ich z zacumowanego powyżej, widocznego teraz jak na dłoni, wrogiego okrętu.

Sam także ściągnąłem helm ze srebrną figurką wilka na dzwonie.

Jam jest earl Uhtred, dziś pan Bebbanburga. W owym czasie mogłem mienić się także władcą bitew. Stałem w skórzanym pancerzu, pysznej kolczudze i płaszczu, z przypasanymi dwoma mieczami, omiatając wzrokiem oddanych mi wojowników, i cieszyłem się mocą, jaką daje młodość. Połowa mojej drużyny przybocznej pozostała ze mną na pokładzie statku Ralli, podczas gdy reszta, pod wodzą Finana, czaiła się w ciemnościach gdzieś po zachodniej stronie, wyczekując sygnału do ataku.

Taką w każdym razie żywiłem nadzieję, wpatrując się w nieprzeniknioną noc. Nasze zadanie było o wiele łatwiejsze – po prostu płynęliśmy w dół rzeki odbijającej światło gwiazd, póki nie natrafiliśmy na obcy okręt – tymczasem Finan prowadził swój konny zastęp przez spowitą w mroku dolinę. Wiedziałem, iż mogę mu ufać jak sobie samemu. Wyobrażałem go sobie niecierpliwie wierzącego się w siodle, z uśmiechem

przyglądającego się pirackiemu okrętowi i wypatrującego nadejścia wrogów, by dać im zakosztować swego miecza.

Nie pierwszy raz tej długiej, słotnej zimy zaczajaliśmy się na zapuszczających się w górny bieg Tamizy łupieżców, jednak wcześniejsze wypadki okazały się daremne. Już dwukrotnie dochodziły mnie słuchy, że wikińskie okręty, przedostawszy się przez wyłom w Moście Londyńskim, najechały dostatnie i bezbronne osady Wessexu. Wtedy także spływałem w dół rzeki, lecz nie znalazłem najeźdźców. Tym razem zdołaliśmy osaczyć morskie wilki. Moja dłoń powędrowała najpierw do rękojeści Oddechu Węża, mego długiego saksa, a potem zacisnęła się na wiszącym u szyi amulecie w kształcie młota.

Zglądź ich wszystkich – modliłem się do Thora. – Wszystkich prócz jednego.

To była długa noc, długa i mroźna. Pamiętam, że rozlewająca się po polach woda pokryła się skorupą lodu, lecz nie czułem zimna, jedynie gorączkowe oczekiwanie. Przypominam sobie też, że kiedy ponownie dotknąłem Oddechu Węża, wydało mi się, że jego ostrze drga niespokojnie. Miałem wrażenie, że klinga śpiewa. Był to nikły, ledwie słyszalny dźwięk, przenikliwa pieśń domagającego się krwi oręża – pieśń miecza.

Wypatrywaliśmy łupieżców. Później – kiedy było już po wszystkim – Ralla powiedział mi, że owego ranka z mej twarzy ani na chwilę nie schodził uśmiech.

Obawiałem się, że nasza zasadzka zostanie wykryta. Tymczasem niebo na wschodzie gorzało płomiennym blaskiem, a najeźdźcy wciąż nie powracali na okręt. Podejrzywałem, że wikińscy strażnicy, spostrzegłszy naszą obecność, ostrzegli pozostałych, lecz się myliłem. Może zasłaniały nas chylące

się do samej wody konary wierzb, a może wrogie straże oślepiło wschodzące słońce, w każdym razie nie zostaliśmy zauważeni.

Za to my widzieliśmy doskonale, jak na nadrzecznych, zalanych wodą roztopową pastwiskach pojawił się oddział zbrojnych popędzających przed sobą grupę kobiet i dzieci. Wojowników było blisko pięćdziesięciu i prowadzili podobną liczbę jeńców. Młode dziewczęta z obróconej w popiół osady miały ogrzewać łoża najeźdźców, dzieci zaś mogły przynieść im spore zyski. Najpierw trafiłyby na londyńskie targi niewolnych, skąd powieziono by je w odległe, zamorskie strony, do ziemi Franków albo jeszcze dalej. Branki – kiedy wikingowie już by się nimi nacieszyli – także zostałyby wymienione na srebro.

Jeńcy byli wciąż zbyt daleko, byśmy mogli usłyszeć ich lament. Na południu, ponad zielonymi, wyrastającymi z płaskiej doliny pagórkami, prosto w czyste zimowe niebo były kłęby ciemnego dymu.

Ralla poruszył się niespokojnie.

– Czekaj – mruknąłem, więc szpakowaty, starszy ode mnie o dziesięć lat mężczyzna zamarł w bezruchu. Na jego ogorzalym obliczu jaśniały oczy, przymrużone od ciągłego wpatrywania się w połyskliwą wodę. Mój serdeczny przyjaciel był nie tylko szyprem, ale i wojownikiem. – Jeszcze nie teraz – dodałem cicho.

Ścisnąłem rękojęść Oddechu Węża, wyczuwając drżenie żelaza.

Woda przyniosła gromkie, uradowane głosy mężczyzn porzyskujących na jeńców. Widziałem, jak Duńczycy zmuszają ich do klękania na zalanym lodowatą wodą dnie łodzi, by przeladowany okręt nie wywrócił się na bystrzynach – gdzie

Tamiza z szumem przeskakiwała kamienne progi – których przebycie wymagało od sternika nie lada wprawy. Następnie wojownicy załadowali zagrabioną w osadzie zdobycz: różna, sagany, radła i noże – wszystko, co nadawało się do sprzedaży lub przetopienia – i sami wsiedli na statek. Po wodzie niósł się ich rechetliwy śmiech. Najwyraźniej rzeź we wsi i widoki na szybki zysk wprawiły ich w doskonały humor.

Spoczywający w miękkiej pochwie Oddech Węża cicho nucił pieśń bojową.

Dobiegł nas łomot umieszczanych w dulkach wiosel. Potem padła gromka komenda:

– Odbijaj!

Kolorowa głowa poczwary zdobiąca wysoki, zawinięty ku górze dziób wrogiego okrętu poczęła odsuwać się od brzegu. Wojownicy odpychali się wiosłami od dna, by skierować łódź na główny bieg rzeki. Po chwili nieprzyjaciel płynął wprost na nas, niesiony wezbranym, wartkim nurtem. Ralla zwrócił ku mnie wzrok.

– Teraz! Tnij linę! – zawołałem i Cerdic jednym cięciem uwolnił nas od przywiązanej do wierzby cumy dziobowej. Mieliliśmy zaledwie dwanaście wiosel. Te zanurzyły się w wodę, a ja, przeciskając się między ławkami wiosłarskimi, pognalem na dziób. – Wyrzniemy ich do nogi! – wrzasnąłem. – Wyrzniemy co do ostatniego!

– Naprzód! – ryknął Ralla i tuzin wiosłarzy naparło na drzewce, walcząc z przeciwnym prądem.

– Śmierć bękartom! – huknąłem, wspiąwszy się na pokład dziobowy, gdzie czekała moja tarcza. – Zabić ich wszystkich! Wytłuc ich jak psy! – Nałożyłem hełm, wsunąłem lewe przedramię w pętlicę ciężkiej drewnianej tarczy i dźwignąłem ją, po czym dobiełem spoczywający dotąd w wyścielanej runem

pochwie Oddech Węża. Pieśń miecza przerodziła się w groźny krzyk. – Zasiec ich! Zasiec! Zasiec! – grzmiałem.

Tuzin piór uderzał w wodę w rytm mych okrzyków. Parliśmy wprost na tańczący na wodzie nieprzyjacielski okręt pchany niemiłowymi pociągnięciami kilku wciąż pracujących wiosłami zastrachanych Duńczyków. Pozostali wojownicy pokrzykiwali, w popłochu szukając tarcz. Miotali się, potykając o siebie i stłoczonych na pokładzie lamentujących wniebogłosy brańców.

– Wiosłować, a żywo! – zakrzyknął Ralla.

Nasz bezimienny statek szedł wprost na niesiony prądem smoczy okręt. Wieńcząca dziobnicę wroga rozdziawiona paszcza miała pomalowane na białą oczodoły i ostre jak sztylety zęby, pomiędzy których wysuwał się wyrzezany w drewnie krwawoczerwony jęzor.

– Teraz! – zawołałem do Cerdica, który cisnął hak, i gdy tylko ten opadł na przedni półpokład wrogiego okrętu, wojownik począł żwawo ciągnąć za łańcuch. Żelazne zęby wbiły się w poszycie wrogiej łodzi i przyciągnęły ją ku nam. – Zabić psubratów! – zakrzyknąłem i przeskoczyłem nad wodą na nieprzyjacielski pokład.

Och, jakże błoga jest wiosna życia – wspaniale mieć dwadzieścia osiem lat i mocarną dłoń walczyć, ciesząc się sławą władcy bitew. Ale to już zamierzchle dzieje. Wszystko to minęło, zamieniło się w powoli płowiejącą materię wspomnień, lecz radość tamtych dni odcisnęła w mej pamięci niezatarte piętno.

Ledwie poczułem pod stopami pokład dziobowy smoczej łodzi, szeroko zamachnąłem się Oddechem Węża i przeciąłem szyję człowieka, który próbował wyrwać tkwiący w burcie hak. Siła mego ciosu odrzuciła jego niemalże odciętą głowę

do tyłu, a gorąca posoka z otwartej rany bluznęła mi na twarz. Owego słonecznego zimowego ranka walczyłem unurzany we krwi wrogów – niczym demon śmierci w połyskującej zbroi, czarnym płaszczu i helmie z wilkiem o rozwartej paszczy.

Dziś jestem stary. Stareńki. Oczy zachodzą mi bielmem, opuszczają mnie siły, sikam kropla po kropli i łupie mnie w kościach. Przesiaduję na słońcu i nawet nie wiem, kiedy zapadam w drzemkę, a potem znów budzę się zmęczony. Ale w mych uszach wciąż brzmi szcęk oręża. Moja najmłodsza żona – najbardziej świątobliwa kwoka, jaką wydał ten świat – wzdraga się, ilekroć opowiadam o swych dawnych przewagach. A cóż mi pozostało prócz wspomnień i historii z dawno minionych lat? Ona pochlipuje, mówiąc, że nie chce nic wiedzieć o odcinanych czerepach i tryskających z szyi strumieniach krwi. Jakże inaczej jednak mamy przygotować naszą młodź do wojen, które przyjdzie jej prowadzić? Całe życie pracowałem mieczem. Walczyłem, gdyż takie było przeznaczenie moje i moich krajan. Alfred chciał zaprowadzić pokój, lecz to wciąż wymykało mu się z rąk. Przybywali nowi Duńczycy, a potem i Norwegowie, więc musiał wydać im walkę. A kiedy umarł, osierocone przez niego królestwo znowu dopadli wikingowie. Dołączyły do nich oddziały Brytów z Walii i hordy wyjących Szkotów z Północy. Nasi mężczyźni musieli stanąć w obronie swoich ziem – chronić bliskich i własne domy. Dziś przyglądam się swoim dzieciom i ich dzieciom, i dzieciom ich dzieci, i wiem, że czeka je niejedna walka. Dopóki po tej smaganej wiatrem wyspie chodzić będą potomkowie rodu Uhtreda, dopóty trwać będzie bój. Po cóż zżymać się na samo wspomnienie wojny? Nie wystarczy zasłanianie oczu, by nie widzieć okrucieństwa, podłości, rozlewu krwi i towarzyszącej mu obmierzłej woni, ale i samej radości

walki – bo wojenna zawierucha znów nas ogarnie, chcemy tego czy nie. Naszym losem jest wojować. *Wyrð bið ful āraed*. Przeznaczenie jest wszystkim.

Właśnie dlatego opowiadam tę historię – by dzieci moich dzieci wiedziały, co je czeka. Moja ślubna zapiera się, lecz nie zważam na to, każę jej siedzieć cicho i podejmuję opowieść w miejscu, w którym ją urwałem. Prawię o tym, jak uderzyliśmy w lewą burtę nieprzyjacielskiego okrętu, spychając jego dziób ku południowemu brzegowi – dokładnie tak jak to obmyśliłem. Ralla poczynął sobie nad podziw zgrabnie. Przymsiwszy smoczą łódź do zmiany kursu, przejechał dziobem po jej burcie, przy czym roztrzaskał Duńczykom przednie wiosła. Moi ludzie poczęli przeskakiwać na wikiński okręt. W powietrzu błysnęły topory i miecze. Po pierwszym ataku na moment straciłem równowagę. Szczęściem mężczyzna, którego położyłem trupem, spadł z pokładu dziobowego na dno łodzi, zagradzając drogę dwóm idącym na mnie wrogom. Ryknąłem i zeskoczyłem z pokładu, by dać im posmakować niosącego śmierć ostrza Oddechu Węża. Jego znakomita klinga została wykuta na Pólnocy. Sasaki kował, sławny ze swego niezrównanego kunsztu, uformował ją z trzech prostych stalowych prętów i czterech skręconych z miękkiego żelaza spiral, które wprzód rozgrzewał do czerwoności, a później kuł, póki nie powstało obosieczne ostrze ze sztychem w kształcie liścia. Sploty miękkiego żelaza pozostały widoczne pod powierzchnią gładkiego metalu jako ledwie dostrzegalne ciemniejsze smugi po obu stronach ostrza. Temu – przypominającemu smocze wyziewy – finezyjnemu ornamentowi Oddech Węża zawdzięczał swą nazwę.

Stanął przede mną mąż o obliczu okolonym szczeciniastą brodą. Zamachnął się toporem. Przyjąłem cios na wystawioną

ku górze tarczę i wraziłem pokryty smoczymi wyziewami sztych w brzuch wroga, po czym obróciłem nadgarstek – by ostrze nie uwięzło w wątpiach konającego – i wyszarpnąłem miecz, rozbryzgując naokoło krew wybebeszonego brodacza. Lewą ręką dźwignąłem tarczę z wbitym w nią toporem, jednocześnie parując mieczem cięcie drugiego przeciwnika. Wówczas Sihtric stanął u mego boku i wbił klingę w pachwinę wroga – aż po zbrocze. Raniony wrzasnął rozdzierająco. O ile sobie przypominam, wznosiłem bojowe okrzyki, podczas gdy moi ludzie przedostawali się na pokład wroga i dołączali do krwawych żniw. Buchnął kobiecy lament i płacz strwożonych dzieci. Błyskały ostrza mieczy i żeleźca toporów, niosąc wikingom śmierć.

Dziób smoczej łodzi zarył w mulisty brzeg, a rufa, popychana prądem rzeki, poczęła się odsuwać od lądu. Kilku Duńczyków, w obawie o własne życie, wyskoczyło za burtę, dając tym pozostałym na pokładzie towarzyszący sygnał do ucieczki. Coraz to nowi mężczyźni opuszczali okręt, szukając ratunku na brzegu. Wtedy z przybrzeżnych olszyn wyłonił się Finan. Po nadrzecznych łąkach przesuwiał się niski, zwiewny całun mgły, zasnuwając skute lodem rozlewiska. Z białego tumanu wyjechał Finan na czele konnych. Jechali w dwóch szeregach, wznosząc nad głowami połyskujące w porannym słońcu obnażone miecze. Mój bitny irlandzki druż wiedział, co czyni. Pierwsza linia jeźdźców okrążyła uciekających wikingów, odcinając im odwrót, podczas gdy druga uderzyła na nich w pełnym pędzie. Dopiero wówczas Finan dołączył do rzezi, zamykając wokół piratów morderczy pierścień.

– Wybij wszystkich! – zawołałem. – Wytnij bękartów do ostatka!

W odpowiedzi przyjaciel pomachał mi okrwawionym mieczem. Clapa, najpotężniejszy z moich duńskich wojów, dopadłszy umykającego wroga w płytkiej wodzie, przebił go włócznią na wylot. Rypere atakował mężczyznę cofającego się przed jego zwinnymi ciosami. Prawica Sihtrica aż po łokieć zlna była krwią. Stojący tuż obok mnie Cerdic, wrzasnąwszy wściekle, zamachnął się toporem i rozłupał hełm pewnego Duńczyka, rozbryzgując posokę i mózg na kulących się pod ławkami strwożonych jeńców. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, zgładziłem jeszcze dwóch wrogów. Przypominam sobie, jak obaliłem jednego twarzą na pokład, a kiedy się obrócił, wkłułem mu wierzchołek Oddechu Węża w grdykę. Jego oblicze wykrzywiło się w przedśmiertnym grymasie. Spomiędzy poczerniałych zębów, poprzez które polala się krew, bezwładnie zwisał język. Naparłem na ostrze, czekając, aż Duńczyk skona. Jednocześnie przyglądałem się, jak jazda Finana zawraca, by przypuścić ponowny atak na okrążonych nieprzyjaciół. Jeźdźcy cięli i rąbali z zapamiętaniem. Ranni i konający wikingowie ryczeli jak zarzynane zwierzęta. Niektórzy rzucali broń. Młody wojownik, klękając przede mną na ławce wioślarskiej, cisnął tarczę i topór, po czym złożył dłonie w błagalnym geście.

– Podnieś oręż – przykazałem mu po duńsku.

– Panie... – zaskomlał.

– Podnieś topór! – przerwałem mu. – I czekaj na mnie w Walhalli.

Kiedy był już uzbrojony, posłałem go w zaświaty. Zgotowałem młodzikowi błyskawiczną śmierć, jednym zdecydowanym cięciem podrzynając gardło. Patrzyłem mu prosto w oczy, a kiedy uszło z nich życie, przeszedłem nad wstrząsanym ostatnimi drgawkami, zboczonym krwią ciałem, które ześlizgnęło

się z ławki, spadając na kolana młodej wieśniaczki. Niewiasta wpadła w histerię.

– Uspokój się – zgromiłem ją.

Potoczywszy spojrzeniem po obliczach struchlałych, ściśniętych na dnie łodzi, lamentujących kobiet i dzieci, przerzuciłem Oddech Węża do lewej ręki. Chwyciłem znieruchomiałego Duńczyka za kołnierz kolczugi, dźwignąłem go i ułożyłem na ławce.

Moją uwagę zwrócił najwyżej dziesięcioletni pędrak, który jako jedyny, zamiast użalać się nad sobą, wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Jego widok przypominał mi chłopięce lata. Co widział ten rozdziawiający buzię brzdąc? Człowieka okutego w metal – owego ranka walczyłem z opuszczonymi osłonami policzków. Wprawdzie ograniczają one widoczność, lecz wojownik z przesłoniętą twarzą wydaje się groźniejszy. Wlepiający we mnie wzrok chłopak ujrzał rosłego mężczyznę o zakrytym obliczu, który z okrwawionym mieczem w ręce kroczył po wypełnionej trupami łodzi. Ściągnąłem hełm z wilkiem i potrząsnąłem głową, odrzucając do tyłu włosy, po czym cisnąłem go w ręce wpatrującego się we mnie uparcie dzieciaka.

– Miej na niego baczenie, chłopcze – poleciłem. Oddech Węża wręczyłem pochlipującej dziewczynce. – Umyj ostrze w rzece – nakazałem jej – a potem wytrzyj je do sucha o płaszcz jednego z poległych.

Oddałem tarczę Sihtricowi i rozpościerając szeroko ramiona, zwróciłem twarz ku podnoszącemu się nad łąkami słońcu.

Załoga wikińskiego statku liczyła pięćdziesięciu czterech ludzi. Szesnastu wciąż żyło. Byli naszymi jeńcami. Żadnemu z najeźdźców nie udało się wydostać z okrążenia. Dobyłem Żądło Osy, krótszego saksa, którego używałem, ilekroć

walczyłem w murze tarcz, kiedy wojownicy cisną się do siebie niczym kochankowie.

– Jeśli którakolwiek z was – zacząłem, omiatając wzrokiem kobiety na pokładzie – chce uśmiercić mężczyznę, który ją pohańbił, teraz jest po temu czas!

Dwie niewiasty pragnęły pomścić doznane krzywdy, zatem użyczyłem im Żądła Osy. Obie długo pastwiły się nad wybranymi ofiarami. Jedna zakłuła swego dręczyciela na śmierć, druga cięła ciało innego wikinga miejsce koło miejsca. Obaj piraci umierali w mękach. Pozostało jeszcze czternastu pojmanych, z których tylko jeden nie nosił zbroi. Był to szyper smoczey łodzi. Miał przyprószone siwizną włosy i rzadką brodę. Jego brązowe oczy wpatrywały się we mnie wyzywająco.

– Skąd was przyniosło? – nagabnałem go.

Z początku zastanawiał się, czy odpowiedzieć, ale poszedł po rozum do głowy.

– Beamfleot – odrzekł.

– A Londyn? – wywiadywałem się. – Stare miasto wciąż jest w rękach Duńczyków?

– Tak.

– Tak, panie – poprawiłem go.

– Tak, panie – rzekł zrezygnowany.

– Wobec tego udasz się do Londynu – przykazałem mu – a stamtąd do Beamfleot, a kiedy już tam dotrzesz, idź, dokąd ci się żywnie spodoba. Poniesiesz ludziom Północy wieść, że Uhtred z Bebbanburga strzeże górnego biegu Tamizy. Obwieść swym pobratymcom, że zawsze mogą liczyć na moją gościnność.

Szyper był jedynym człowiekiem, któremu darowałem życie, ale zanim puściłem go wolno, odciąłem mu prawą rękę, by już nigdy nie mógł podnieść miecza. W tym czasie

moi ludzie rozpalali ogniska. Kazałem, by przyprowadzono okaleczonego męża i wetknięto jego obficie krwawiący kikut w rozżarzone węgle, by zasklepić ranę. Dowódca smoczey łodzi okazał się dzielnym człowiekiem. Kiedy krew na ramieniu się zagotowała, a przypiekane ciało zasyczało, skrzywił się, ale nie wydał nawet najcichszego jęku. Polecilem, by owinięto mu ranę płótnem oderwanym z koszuli jednego z poległych, i odprawiłem go.

– Idź – rzekłem, wskazując ręką w dół rzeki. – Po prostu idź przed siebie.

Okaleczony szyper odwrócił się i ruszył w drogę. Odprawiłem go wzrokiem, zastanawiając się, czy bogowie pozwolą mu przeżyć na tyle długo, by zaniósł wieść o moim okrucieństwie na opanowane przez wikingów ziemie. Wszyscy pozostali przy życiu jeńcy wkrótce je stracili.

– Dlaczego ich wygubiliś? – zapytała moja młoda żona. Jej głos pełen był odrazy dla mego niewzruszonego braku litości.

– By zasiać trwogę w sercach Duńczyków – odparłem. – To chyba oczywiste.

– Czegóż mieli się bać, skoro ich zabiłeś?

Staralem się nie tracić cierpliwości.

– Nie oni. Okręt piracki opuścił Beamfleot – wyluszczyłem – i nie powrócił – dodałem z naciskiem. – Wikingowie, chciwym okiem spoglądający na dostatnie ziemie Wessexu, usłyszeli o losie, jaki spotkał najeźdźców, i gdzie indziej ponieśli swoje miecze – tłumaczyłem jej zasady wojny. – Wytracając do szczętu załogę jednej smoczey łodzi, ustrzegłem się przed koniecznością walki z setkami następnych.

– Pan Jezus by się radował, gdybyś okazał im łaskę – odrzekła w prostocie serca ma połowica. Niestety nie grzeszy rozsądkiem.

Finan odprowadził uwolnionych brańców do ich obróconej w proch osady. Jego ludzie dopomogli wieśniakom pogrzebać zabitych. Pozostali wojownicy zajęli się wieszaniem zwłok na konarach nadbrzeżnych drzew. Pętle sporządziliśmy z poszarpanych okryć poległych. Zagarnęliśmy zbroje, broń i naramienniki, a potem obcięliśmy trupom długie włosy, gdyż nie ma lepszego szczeliwa na poszycie okrętu od włosów zwyciężonych wrogów. Na koniec rozwiesiliśmy nagie zwłoki na gałęziach. Błede ciała kołysały się na wietrze, przyciągając chmary kruków, które zleciały się, by wydziobać pozbawione wyrazu oczy.

Za rufą pozostawiliśmy pięćdziesięciu trzech dyndających nad rzeką wisielców – ku przestrodze dla tych, którzy pragnęli by najechać nasze ziemie. Pięćdziesiąt trzy znaki ostrzegawcze mówiące piratom, że wypuszczając się w górę biegu Tamizy, winni sposobić się na śmierć.

Uczyniwszy, co należało, powiosłowaliśmy do domu, zabierając ze sobą zdobywczy okręt.

Oddech Węża, odśpiewawszy swą bojową pieśń, spoczywał cicho w miękkim runie pochwy.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Czwarty tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohaterskiego Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

Rok 885. Między Sasami i Duńczykami panuje kruchy pokój. Uthred strzeże granicy Wessexu na Tamizie. Gdy król Alfred dowiaduje się, że wikingowie pod wodzą dwóch norweskich jarłów zajęli należący do Mercji Londyn, nakazuje Uhtredowi odbić miasto z rąk najeźdźców. Los jednak lubi niespodzianki: wikingowie proponują earlowi, by do nich przystał i nakłonił do tego także swego przybranego brata Ragnara Młodszego. Chcą podbić trzy anglosaskie królestwa. Za zdradę Wessexu oferują Uhtredowi tron Mercji

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-530-3



9 788375 155303

Cena detal. 54,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE

